

Po co nam **USA** | Hejt zostawia ślad | **Odzież** truje | Jest **drożej**
Lepsze **losowanie** niż głosowanie | **Meteorolodzy** na mękach

Szukaj
„**Polityki**”
z książką



POLITYKA.PL

POLITYKA

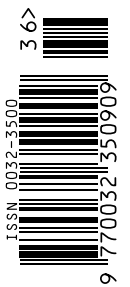
TYGODNIK, nr 36 (3226), 4.09–10.09.2019

Cena 7,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Tele mele dudki

Jak za publiczne
pieniądze
TVP uprawia
partyjną
propagandę

s. 12



9 770032 350909

SKI team®

ROWEROWY ZJAZD CENOWY

ROWERY CUBE NAWET DO
40% TANIEJ*

KOLEKCJA 2017 LUB STARSZA DO **40% TANIEJ**

KOLEKCJA 2018 DO **35% TANIEJ**

KOLEKCJA 2019 DO **15% TANIEJ**

* Dotyczy wybranych modeli rowerów Cube z kolekcji 2019 lub starszej. Rabat może się różnić w zależności od wybranego modelu i rocznika.

CUBE

**PRZEDSPRZEDAŻ
KOLEKCJI 2020**

SPRAWDŹ W SKLEPACH SKI TEAM
ORAZ NA SKITEAM.PL

WSZYSTKIE ROWERY DOSTĘPNE DO **20 RAT RRSO 0%**

Santander
Consumer Bank

raty

WARSZAWA: ul. Toruńska 107b - ul. 17 Stycznia 36/38 - ul. Wolska 19/25 (róg Karolkowej)
POZNAŃ: ul. Butgarska 117a | WROCŁAW: CH Arkady Wrocławskie | KATOWICE: CH 3 Stawy



18

Co jest dowodem
w sieci



30

Kościół, kobieta
i ksiądz



100

Krótką historią
wymierania

Tematy tygodnia

- 10 Adam Krzemiński **Obchody Września '39 według PiS**
- 11 Łukasz Wójcik **Do czego nam potrzebni Amerykanie?**
- 12 Anna Dąbrowska **Brutalna telepropaganda**
- 16 Rozmowa z **Mariuszem Kowalewskim**, byłym dziennikarzem TVP, o tym, kto na kogo szukał haka, za kim wysyłano reporterów i drony

Polityka

- 18 Ewa Siedlecka **Hejterzy w togach kontra media**
- 22 ROZMOWA POLITYKI Pisarz i badacz systemów politycznych **David van Reybrouck** o tym, jak wybory mogą nie służyć demokracji

Spółeczeństwo

- 26 O młodych powracających na wieś po studiach mówi dr **Ilona Matysiak**
- 30 Joanna Podgórska **„Spróchniały krzyż”, fragment książki**
- 34 Marcin Kołodziejczyk **Meteorolodzy pod pręgierzem**
- 37 Oleksandra Iwanuk **Opowieści z Klubu Ukraińskich Kobiet**

Rynek

- 40 Joanna Solska **Coraz drożej**
- 43 Adam Grzeszak **Niezły biznes – gry komputerowe**

Świat

- 48 Łukasz Wójcik WIELKA BRYTANIA **Logika upadłego imperium**
- 51 Dariusz Kała WĘGRY **Syn Orbána uciekł w religię**
- 54 Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz ROSJA **Moskiewskie nastroje przed wyborami**
- 56 Maciej Okraszewski HISZPANIA **Ośmiornica po katalońsku**

Historia

- 58 Andrzej Brzeziecki **1989 r.: słynne exposé Mazowieckiego**
- 61 Tadeusz Zawadzki **Jak ZSRR i ChRL o ussuryską wyspę wojowały**

Nauka

- 64 Marta Zaraska **Moda niszczy Ziemię**
- 68 Michał C. Kacprzak **Realnie o sztucznej inteligencji**
- 71 NIE/PRAWDA, ŻE **Przeгляд odkryć i przykrzyć**

Ludzie i style

- 72 Paweł Walewski **Zabójcze opioidy**
- 76 Z **Wojciechem Fibakiem** o nowej fali polskiego tenisa rozmawia Daniel Passent

Kultura

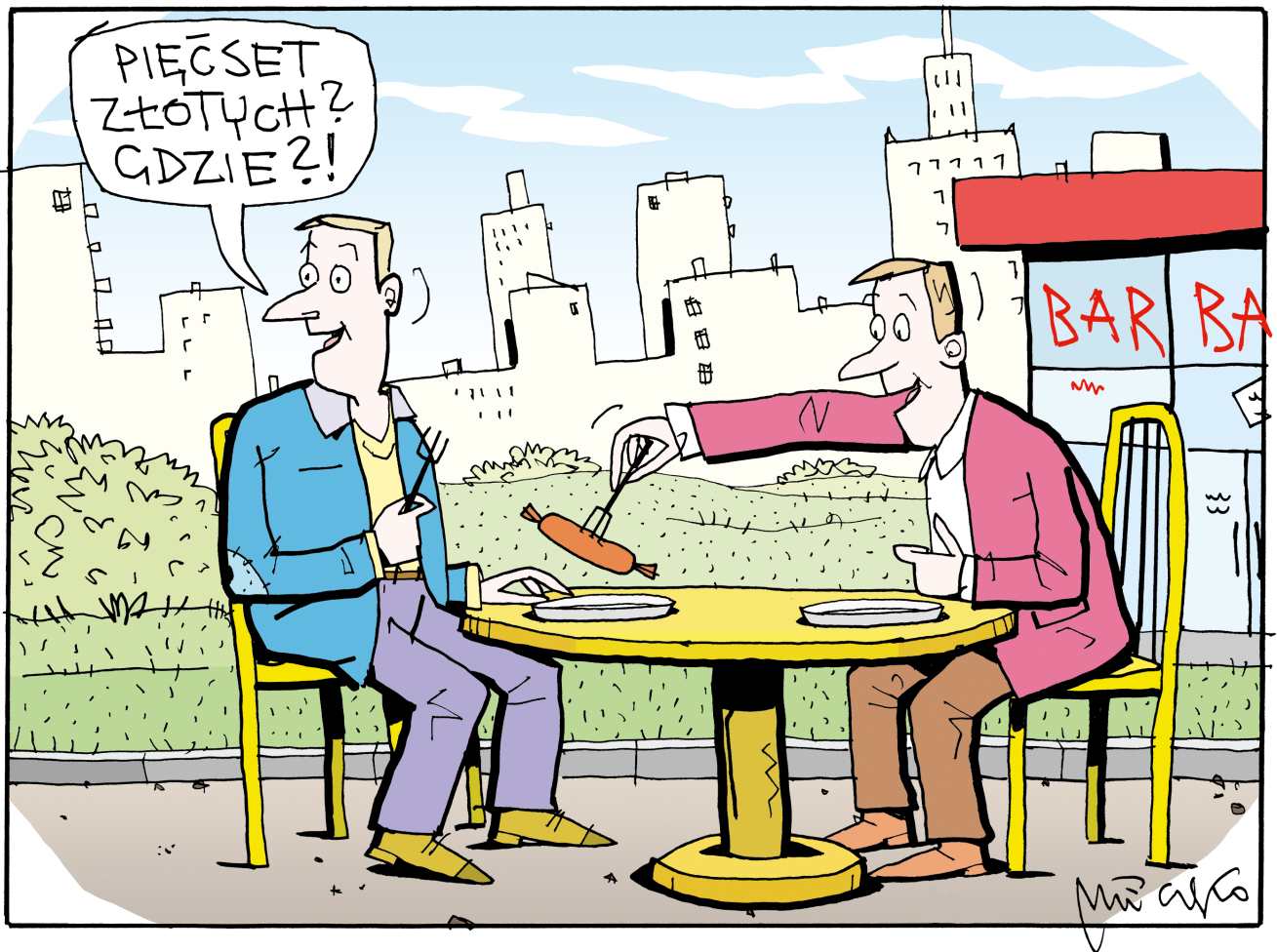
- 82 **Borys Szyc** o swojej roli tytułowego bohatera filmu „Piłsudski”
- 85 Ania Diduch **Pionierskie muzeum sztuki interaktywnej w Tokio**
- 88 **Zbigniew Namysłowski**, kończący właśnie 80 lat, o tym, jak się rodził polski jazz
- 92 Bartek Chaciński **Tony Allen – perkusista za czterech**

Na własne oczy

- 100 Przemek Berg **Poczet gatunków wymarłych i wymierających**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 46 Przegląd informacji rynkowych
- 78 Afisz
- 94 Passent
- 96 Stomma
- 97 Tym
- 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy
- 106 Polityka i obyczaje



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Lepszy od najlepszych

W zeszłym tygodniu wypłynęły nowe informacje na temat Jarosława Kaczyńskiego. Na konwencji PiS w Sieradzu europosłanka Lichocka w bezkompromisowym wystąpieniu porównała dokonania Jarosława Kaczyńskiego do dokonań króla Łokietka, zaś w wywiadzie dla TVN premier Morawiecki poszedł jeszcze dalej i porównał Jarosława Kaczyńskiego ze sobą, stwierdzając, że prezes PiS byłby premierem lepszym od niego. Słowa Morawieckiego odsłaniają smutną prawdę, że cokolwiek zrobiłby on jako premier, prezes PiS i tak zrobiłby to wszystko lepiej. Morawiecki dał do zrozumienia, że jego problem polega nie na tym, że uważa, iż jest słabym premierem, tylko na tym, że nawet jeśli uważałby, że jest najlepszy, Jarosław Kaczyński i tak byłby lepszy. Dziwię się, że znając nieludzką zdolność Kaczyńskiego do bycia lepszym od najlepszych, Morawieckiemu wciąż chce się jeszcze odnosić jakies sukcesy.

W Sieradzu posłanka Lichocka bardzo chwaliła króla Łokietka, mówiąc: „To Władysław Łokietek siłą swojej woli, siłą swoich działań, stworzył polskie państwo na nowo”. Jednocześnie przypomniała zebrany, że nawet historyk Paweł Jasienica

nie przewidział, „że w przyszłości nadejdą politycy, którzy również będą obdarzeni siłą woli potrzebną do odbudowy polskiego państwa, do scalenia polskiej wspólnoty. Wiecie oczywiście, o kim mówię”.

Oczywiście, że wiemy, niech Lichocka nie będzie taka mądra i nie myśli, że tylko ona wszystko wie. Działanie siły woli Jarosława Kaczyńskiego jest wszystkim znane, wiemy, co ta wola potrafi, a w Sieradzu siłą woli prezesa czuć było wyraźnie. Nie ma na razie twardych dowodów, że przemówienie Lichockiej było wyłącznie skutkiem działania siły woli Jarosława Kaczyńskiego, ale nie wykluczałbym tego. Jak również tego, że wytworem silnej woli Kaczyńskiego jest również sama Lichocka. Chociaż z drugiej strony, kto wie, czy wystąpienie w Sieradzu nie było przypadkiem demonstracją siły woli Lichockiej, która zamiast owijać w bawełnę, zdecydowała się – nie bacząc na hejt i kpiny – powiedzieć Kaczyńskiemu przy ludziach, co o nim myśli.

Co do historyka Jasienicy, to fakt, że w latach 60. czy 70. XX w. nie potrafił przewidzieć nadejścia prezesa Kaczyńskiego, mimo że ten już wtedy żył, potwierdza krążące o nim krytyczne opinie. Wygląda zresztą na to, że pojawienie się Lichockiej Jasienica również nie przewidział (bo nie chce mi się wierzyć, że przewidział, ale ukrył ten fakt przed nami). Wydaje się to dziwne, bo wiadomo, że postaci takich jak Lichocka w każdej epoce historycznej roi się w kręgach władzy tyle, co much w obejściu, dlatego można naprawdę łatwo przewidzieć, że się pojawią.





PRZEDSPRZEDAŻ LATO 2020

dla wymagających



DODALIŚMY DLA WAS



**50 HOTELI
W STANDARDZIE PREMIUM**

Sprawdź ofertę na r.pl

No to start



Jerzy Baczyński

Koniec wakacji oznacza początek prawdziwej kampanii wyborczej. Będzie wyjątkowo krótka i szybka. Zwłaszcza dla opozycji. Obóz władzy prowadzi zorganizowaną kampanię już od wielu tygodni, dawno ma poukładane listy kandydatów, zaplanowane eventy, konwencje, wyplaty dla ludności. W kampanię wpisana została już wszelka aktywność państwa: oficjalne obchody i wizyty, plan posiedzeń Sejmu, działalność premiera, poszczególnych ministrów i urzędów, prokuratury. Także wydarzenia nadzwyczajne (jak porażenie turystów na Giewoncie czy techniczna awaria kolektora ściekowego) są natychmiast wprzęgane w propagandowe przekazy dnia. Nawet projekt budżetu państwa na rok 2020 został poddany operacji plastycznej, maskującej głębokie rysy i napięcia w finansach publicznych (s. 7).

Media zrymają się, że władza unika konferencji prasowych, rzecznicy prasowi nie odpowiadają na wysyłane pytania, prokuratury konsekwentnie odmawiają uzasadnienia własnej bezczynności w niewygodnych dla władzy sprawach. Ale tak ma być; taktyka jest czytelna – przetrzymać na wdechu, przeciągać w czasie wyjaśnianie afer. Nie reagować na zarzuty i zaczepki opozycji. Zacierać doraźnymi dopłatami wzrost cen żywności i energii; przekładać na przyszłość i topić w niejasnych obietnicach roszczenia płacowe nauczycieli, pielęgniarek, urzędników. Wszelkie wątpliwości zbywać formułą mówienio-robienia: planujemy, zamierzamy, zbudujemy, właściwie już budujemy, mamy precyzyjny harmonogram. Byle do 13 października.

Niestety, opozycja, wbrew hardym zapowiedziom, niespecjalnie zakłóca komfort władzy. Swojej kampanii właściwie jeszcze nie zaczęła. Układanie list kandydatów okazało się bardzo absorbujące, niemal całkowicie w ostatnich dwóch tygodniach pochłaniając energię i czas liderów. Można to jakoś tłumaczyć: opozycyjne koalicje powstały późno, a jeszcze dodatkowym wyzwaniem okazał się projekt wspólnych kandydatów do Senatu. Na szczęście jawne konflikty dotyczyły jedynie kilkunastu spośród setek miejsc na listach.

Najbardziej spektakularny rozegrał się w śródmiejskim okręgu nr 44 w Warszawie, gdzie KO – zapewne licząc na głosy Polonii – wystawiła do Senatu dawnego polityka PiS, konserwatystę Kazimierza Ujazdowskiego. Wywołało to liczne protesty (ostrą list otwartą napisała Agnieszka Holland), a przeciw „wspólnemu kandydatowi opozycji” postanowił startować jeden z bohaterów ulicznych protestów Paweł Kasprzak, lider Obywateli RP. Był także opór przeciwko poparciu Grzegorza Schetny dla kandydatu ry senackiej Stanisława Gawłowskiego, oskarżanego (być może niesprawiedliwie) o korupcję. Jednak rozmowy wewnątrz i na zewnątrz koalicji, w zawsze delikatnych i budzących ogromne emocje sprawach personalnych, i tak potoczyły się sprawnie. Za to zbieranie podpisów szło ciężko, bo (jak sygnalizowali działacze), „ludzie boją się PiS”, tego, że po wyborach podpisy mogą trafić w ręce mściwej władzy. Afera hakowa w Ministerstwie Sprawiedliwości paradoksalnie utrudniła życie opozycji. Najważniejsze, że formalności są domknięte, a kandydaci, podobno, zdeterminowani do walki. Czas najwyższy.

Mimo ewidentnego kampanijnego opóźnienia opozycji dzisiaj w punkcie startu w zasadzie jest remis z PiS. Uśrednione sondaże wskazują, że trzy koalicje w sumie mogą nawet liczyć na więcej głosów, choć dostałyby w Sejmie mniej mandatów. Imponująca początkowo ofensywa piśowskiej kampanii została wyhamowana: najpierw wypłynęła afera marszałka Kuchcińskiego, potem skandal z farmą trolli w Ministerstwie Sprawiedliwości, wreszcie w ostatniej chwili wizytę w Polsce odwołał Donald Trump. Ba, nawet wygłoszone w Warszawie w rocznicę wybuchu wojny znakomite, mądre i odważne przemówienie niemieckiego prezydenta (a także nieoczekiwany udział w uroczystościach kanclerz Angeli Merkel – s. 10) uszkodziły ewidentny plan PiS, aby grać w kampanii na antyniemieckich emocjach i żądaniach bilionowych reparacji. W ogóle na razie PiS ma problem z dostawą świeżych wrogów: imigranci i terroryści są (odpukać) nieaktywni, zagrożenie LGBT, podobnie jak gender czy euro, ma jednak ograniczony i już nieco zużyty potencjał, atak na „żydowskie roszczenia” może znów urazić Trumpa, Rosja dawno zesłała z tapety itd. Jednak już 7 września wielka konwencja wyborcza PiS, więc na pewno prezes Kaczyński kogoś lub coś w roli wroga obsadzi. (Ponownie polecam lekturę dołączonej do tego numeru książki Mariusza Janickiego i Wiesława Władyki „Brat bez brata”, analizującej cele i metody polityczne Kaczyńskiego).

Opozycja – przy całej swojej niezborności, zróżnicowaniu i liberalnemu „rozmemłaniu” – wbrew temu, co do niedawna „się uważało”, absolutnie nie jest skazana na wyborczą porażkę. Ale po ułożeniu list trzeba się ułożyć z wyborcami ześlonymi anemicznością dotychczasowej kampanii i – mówiąc najogólniej – aparaczkowskim wdziękiem Grzegorza Schetny. Podział opozycji daje też pewne atuty. Koalicje – Obywatelska, Lewicowa i Polska – są wobec siebie dość komplementarne i mogą skorzystać z naturalnych wyborczych specjalizacji, nie atakując siebie nawzajem. PiS też pomaga: ostatnimi aferami naruszył swoją teflonową reputację. Jednocześnie, tak jak w latach 2005–07, na dziesiątkach przykładów potwierdził swój „imposybilizm” jeśli chodzi o realne usprawnienie i reformę państwa – tym samym zostawiając opozycji ogromną „przestrzeń programową”.

Aż prosi się o plany poprawy jakości życia, jakości demokracji (polecam wywiad na s. 22), budowy „wielkiego, solidarnego społeczeństwa”, „porządnego, europejskiego państwa”. Hasła same pchają się na sztandary. Warto również, aby opozycja pokazała, że poza niezbyt popularnymi liderami ma wartościowych, poważnych kandydatów, działaczy, ekspertów. Bo ma. Czekam także, kiedy organizatorzy kampanii zwrócą się o pomoc i aktywność do samych wyborców. Pamięamy jeszcze gigantyczne, w sumie wielusetysięczne marsze KOD. Tamtej organizacji już nie ma, ale ludzie gdzieś są i może coś jeszcze zostało z ówczesnej solidarności, energii i woli sprzeciwu.



KOMENTARZE

Szambo wybiło

Malwina Dziedzic

Trudno o bardziej wymowny przykład tego, jaki stan osiągnęła polska polityka niż sprawa awarii dwóch kolektorów warszawskiej **oczyszczalni Czajka**, obwołana przez służbowe władze media „afērą ściekową”. Z przymusowego zrztu nieczystości do Wisły rządzący postanowili wywołać falę lęku i paniki. A wszystko z uwagi na dziennikarzy i opinie publicznej od koordynowanej w samym jądrze Ministerstwa Sprawiedliwości akcji nękania niezależnych sędziów. Przy wydatnym zaangażowaniu funkcjonariuszy rządowej telewizji, ale także samych członków rządu i podległych mu instytucji, doprowadzono do sytuacji niebywałej w większości demokratycznych państw – władza umyślnie wywołała falę lęku i paniki. A wszystko z powodu zbliżających się wyborów parlamentarnych. Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski był dotychczas jednym z najpopularniejszych polityków PO, którego wsparcie w kampanii miało pomóc Koalicji Obywatelskiej. Po ostatnim tygodniu nie jest to już tak pewne. Trwa bowiem szeroko zakrojona akcja oczerniania włodarza stolicy.

Trzaskowski jest obwiniany o zbagatelizowanie awarii, o próby jej tuszowania, brak zainteresowania szybkim rozwiązaniem kryzysu, wreszcie – narażenie mieszkańców Warszawy i innych miast na utratę zdrowia, a nawet życia. Nasyłani są na niego pracownicy TVP, którzy podczas konferencji prasowych pytają, czy przeprosi za zanieczyszczenie wody i poda się do dymisji. A na czerwonych paskach TVP Info od początku awarii mowa jest o „katastrofie Trzaskowskiego”, której tylko dzielnicy rządzący mogą zaradzić („Trzaskowski zawiódł, rząd rozwiąże kryzys w Warszawie”, „Wojsko pomoże ofiarom katastrofy”). Ale i poza anteną pracownicy rządowych mediów sieją zamęt, kolportując w internecie wywołujące zgrozę zdjęcia, opisy i spiskowe teorie. Tu przykład idzie z góry. W pierwszych dniach awarii to przeciw czołowi politycy PiS robili wszystko, aby nakręcić spiralę dezinformacji i nastraszyć Polaków. Szef sztabu PiS Joachim Brudziński mówił o „fali kulminacyjnej (...) brunatnej, niezwykle cuchnącej mazi” docierającej do mostu Poniatowskiego – później prostował i przekonywał, że miał



© LUKASZ SZCZEPANSKI/REPORTER

na myśli most Północy, choć i ten znajduje się przed miejscem spustu ścieków. Także szef KPRM Michał Dworczyk w nadgorliwości odwrócił bieg Wisły: „Ta katastrofa nie dotyczy tylko mieszkańców Warszawy, ale też innych miejscowości na południe od Warszawy”. W konfrontacji z bezwzględnyymi regułami walki wyborczej najwyraźniej geograficzne prawidła przestały mieć znaczenie. A i z historią w rządzących nie jest lepiej. Ministrowi Suskiewi awaria oczyszczalni skojarzyła się z wybuchem w elektrowni jądrowej: „To przypomina mi sytuację katastrofy w Czarnobylu. Ukrywano to dokąd można było. Później się nie dało ukryć, bo Wisła zaczęła płynąć pianą”.

Zrzut ścieków ma się zakończyć w ten weekend. Władze samorządowe i państwowe próbują współpracować – na rzece budowany jest tymczasowy most pontonowy, na którym ułożony zostanie zastępczy rurociąg odprowadzający nieczystości do oczyszczalni. Woda w Wiśle jest ozonowana. Przedstawiciele warszawskiego ratusza uspokajają, że woda w kranach jest czysta, i przypominają, że do 2012 r. – kiedy zakończono rozbudowę Czajki – ścieki z lewobrzeżnej części stolicy trafiały do Wisły. Także włodarze innych miast starają się nie podgrzewać emocji – zapewniają, że źródła wody pitnej nie są zagrożone, apelują jedynie o ostrożność, w tym niepojenie zwierząt wodą z rzeki i nieużywanie jej do podlewania ogródków. Eksperti zwracają uwagę, że Wisła jest dziką rzeką, co powinno ułatwić proces samooczyszczania, choć zarazem zaznaczają, że z powodu niskiego stanu wody zagrożone są organizmy żyjące w rzece. Polityczne szambo może mieć większą siłę rażenia.

0 Telewizji politycznej czytaj s. 12 i s. 16.

Cud mniemany

Joanna Solska

Rząd przygotował projekt budżetu, którego sam nie traktuje poważnie. **Premier Morawiecki** próbuje wmawiać wyborcom, że w wolniej rozwijającej się gospodarce, zmniejszając jednocześnie podatki, można zwiększyć wydatki o dziesiątki miliardów złotych i mimo to bilans wyjdzie na zero. Budżet w przyszłym roku ma „zarobić” 429,5 mld zł i zarazem nie wydać ani grosza więcej. To ma być dowód odpowiedzialności, jaką nie wykazał się żaden rząd w ostatnich 30 latach. Przeciętny wyborca ma dalej cieszyć się 500+, a ten bardziej świadomy – z uznaniem spojrzeć na zaskakujące zrównanie dochodów i wydatków państwa. Tyle że to cud pozorny.

Nie jest odpowiedzialnym budżet, w którym wydatki społeczne zadekretowane są na lata, ale wpływy, dzięki którym mogą one być zrealizowane, są jednorazowe. Można na nie ewentualnie – i z dużą dozą optymizmu – liczyć w 2020 r., ale w 2021 – już nie. Co wtedy?

Takich jednorazowych sporych strumieni jest w tym projekcie kilka. Do 20 mld zł może pochodzić z likwidacji OFE i zapisania oszczędności na Indywidualnym Koncie Emerytalnym. Z góry zostanie pobrane za to 15 proc. podatku. Reszta ze 160 mld zł zgromadzonych w OFE powędruje do ZUS, dzięki czemu w 2020 r. rząd może przekazać do Funduszu Ubezpieczeń Społecznych mniejszą dotację.



© SZANOWIR KAMINSKI/AGENCJA GAZETA

W kolejnym roku ta dodatkowa kasa już się nie pojawi. Tak jak nie pojawi się i 5 mld zł, które ma przynieść aukcja częstotliwości 5G. Mocno przeszacowane wydają się też wpływy z VAT. Władza liczy na wzrost 11,5 proc., przyznając jednocześnie, że gospodarka będzie rozwijać się wolniej niż obecnie, a PKB nie przekroczy 3,7 proc. Zresztą już w tym roku efekty z uszczelniania okazały się mizerne.

Likwidacja limitu składek na ZUS (do 30-krotności średniej płacy) ma obowiązywać także w kolejnych latach, co jednak wcale nie znaczy, że każdego roku państwo może liczyć na dodatkowe 5–6 mld zł. Najlepiej zarabiający założą firmy i uciekną w samozatrudnienie. Podwyżka akcyzy na alkohol i papierosy zachęci zaś do przemytu – już teraz sporego.

Dość nonszalancko w projekcie wypełniono też rubrykę „wydatki”: mocno ich nie doszacowując i zmuszając samorządy do pokrywania narzuconych z góry kosztów – np. reformy edukacji – nierekompensowanych odpowiednio zwiększoną dotacją. Autor tak podrasowanego budżetu sporo więc wydaje z cudzych kieszeni.

Mimo tych kojarzących się z kreatywną księgowością zabiegów w projekcie nie zmieściła się trzynasta emerytura, wciąż obiecwana przez polityków PiS. Kolejnych 10 mld zł już nie dało się zapisać w projekcie budżetu – choć i tak parlament nie uchwalił go przed wyborami, a następną władza może go gruntownie zmienić. Najważniejsze, że namalowany na papierze projekt jest zrównoważony i optymistyczny. A po wyborach się zobaczy.



Komisarz na kraj

Po przygodach z Beatą Szydło i tuż przed wyborami w Polsce PiS nie może sobie pozwolić na kolejną spektakularną europorażkę. Odkopał więc, nieco już zapomnianego, Janusza Wojciechowskiego.

Wciąż mam żywo w pamięci, jak w 2016 r. europoseł Janusz Wojciechowski kandydował na członka Europejskiego Trybunału Obrachunkowego i z całych sił usiłował przekonać przesłuchujących go w Brukseli członków Komisji Kontroli Budżetowej, że będzie w nowej funkcji absolutnie, ale to absolutnie niezależny. Drwiącym tonem dopytywali go posłowie, czy aby rzeczywiście uda mu się pójść wieczorem do łóżka jako dzielnego fightera PiS, ugrupowania niszczącego trójpodział władzy w Polsce, a rano wstać świeżutkim i całkowicie niezależnym od jakiegokolwiek partii? Mimo ognistych, zachwalających Wojciechowskiego tyrad wygłaszanych przez jego klubową koleżankę Jadwigę Wiśniewską, Parlament Europejski nie uwierzył w jego obietnicę i niezależność. Kandydaturę Wojciechowskiego odrzucono w tajnym głosowaniu.

Tu należy nadmienić, że w europarlamencie wszystkie głosowania dotyczące nominowania osób na stanowiska są tajne. Tak samo zresztą jak odwoływanie ze stanowisk – co na razie zdarzyło się tylko raz w historii PE, kiedy Ryszard Czarnecki stracił stanowisko wiceprzewodniczącego wysokiej izby. Tajne głosowanie w sprawach personalnych to zdrowa zasada i powinna być stosowana wszędzie. Wyjątkiem są wybory przez akklamację, np. członków prezydium komisji w PE. Ale i tu można zażądać głosowania z automatu tajnego – tak właśnie dwa razy z rządu poległa Beata Szydło. Tego też wcześniej nie było. Pani europoseł tym dwukrotnym kandydowaniem zasłynęła i od razu, na początku swojej parlamentarnej kariery, stała się postacią rozpoznawalną. Posłowie na wielkich brukselskich korytarzach opowiadali sobie historię „tej Polki”, która może jeszcze trzeci raz zakandyduje, i próbowali rozgryźć wymowę jej nazwiska. Bo – przykro to przyznać – ale Beata Szydło niewielu zapadła w pamięć jako premier dużego europejskiego kraju. Członkowie komisji ds. zatrudnienia i spraw socjalnych poznali życiorys kandydatki na przewodniczącą i, coraz więcej o niej wiedząc, odrzucali jej kandydaturę coraz większą liczbą głosów.

Wielu myśli, że skoro PiS proponuje kogoś na komisarza, to sprawa właściwie jest już klepnięta, a kandydat tękę otrzyma. Może, ale nie na pewno. Wojciechowski, mimo negatywnej opinii PE, faktycznie został członkiem Europejskiego Trybunału Obrachunkowego. Ale w tamtym wyborze europarlament mógł tylko wyrazić opinię, decydowała Rada, czyli przedstawiciele rządów państw członkowskich UE. Rada nie była w żaden sposób zobowiązana do kierowania się opiniami innych instytucji – bez wielu dyskusji zbiorowo przyjęto proponowanych kandydatów. PE gra znacznie ważniejszą rolę przy zatwierdzeniu Komisji Europejskiej: członkowie odpowiedzialni komisji parlamentarnych przesłuchują kandydatów na komisarzy długo i szczegółowo. Po każdym przesłuchaniu obradują i głosują. Już kilka razy się zdarzyło, że odrzucono jakąś kandydaturę i dane państwo proponowało kogoś innego. Tę serię, niewielką zresztą, otworzyła słynna awantura o Rocco Buttiglione, kiedy to rząd Włoch zmuszony został do wycofania go; komisarzem został wtedy Franco Frattini.

Po pozytywnej weryfikacji kandydatów przez odpowiednie komisje PE we wspólnym głosowaniu przyjmuje (może też odrzucić, ale to się jeszcze nigdy nie zdarzyło) skład nowej KE. Tu kolejna moja

obserwacja: często słyszę, że KE nie ma legitymizacji demokratycznej. „Przecież komisarze nie są wybierani” – powtarza wielu. Nic bardziej błędnego! Są wybierani, chociaż nie bezpośrednio. Tak jak pośrednio wybieramy premiera i ministrów. Partia, którą wybierzemy w wyborach powszechnych, tworzy rząd, tzn. proponuje kandydatów na ministrów. I ta partia właśnie proponuje również kandydata na komisarza. W dodatku musi on być zatwierdzony przez europosłów, którzy też są wybrani w wyborach powszechnych. Tak więc Komisja Europejska – można powiedzieć – jest wybierana przez obywateli Unii pośrednio, ale dwa razy!

Po przygodach z Beatą Szydło i tuż przed wyborami w Polsce PiS nie może sobie pozwolić na kolejną spektakularną porażkę. Odkopał więc, nieco już zapomnianego, Janusza Wojciechowskiego. Ten siedział sobie cichutko w Luksemburgu i kontrolował, czy fundusze UE są prawidłowo wykorzystywane. Jako ten „całkowicie niezależny i bezpartyjny” natychmiast zatrudnił na szefową swojego biura córkę europosłanki PiS Jadwigi Wiśniewskiej, i tak minęły mu spokojne trzy lata. To właśnie zamierza wykorzystać PiS: wystawia człowieka obeznanego z funkcjonowaniem instytucji europejskich, a do tego bezpartyjnego! Niby niezwiązanego z rządem, przeciwko któremu toczą się sprawy w Europejskim Trybunale Sprawiedliwości. Na użytek krajowy gratka znakomita, bo zabiegając dla swojego kandydata o tękę rozwoju rolnictwa, PiS wypycha w narożnik PSL, twierdząc, że Wojciechowski domagał się wyrównania dopłat bezpośrednich i jako komisarz z pewnością to załatwi.

Rozumiem, że PSL ma na wsi sytuację trudną politycznie, ale nie rozumiem, czemu ogłasza, że popiera kandydata PiS, w dodatku człowieka, który PSL zdradził i zdecydowanie osłabił, angażując się w narodowe, w sumie antyeuropejskie, ugrupowanie Piast. Czyżby dotyczyły się jakieś rozmowy na temat przyszłej współpracy PSL i PiS? Wojciechowski coś kiedyś pokrzykiwał o wyrównaniu dopłat, ale średnią europejską dla polskiego rolnika zagwarantował nie on – ani nie PiS – ale rząd PO-PSL w bardzo trudnych negocjacjach. Dziś polski rolnik dostaje ok. 250 euro/ha – to poziom porównywalny np. ze Szwecją czy z Austrią. Najwyższe dopłaty w UE sięgają ok. 280 euro/ha – tyle dostają rolnicy we Francji, w Niemczech i w kilku innych krajach. Polska korzysta jednak dodatkowo z miliardów przeznaczonych na program rozwoju obszarów wiejskich (tzw. drugi filar). Czy Wojciechowski osiągnie coś więcej? O budżecie w Unii decydują Rada i Parlament; komisarze otrzymują go do wykonania.

W nowym PE mało komu mówi coś nazwisko Wojciechowski. Nawet jego pozytywnych działań – np. zabiegania o dobrostan zwierząt poprzez skracanie czasu transportu, powiększanie klatek itp. – się nie kojarzy. A samo przesłuchanie dla wielu będzie okazją do przypomnienia, że bronił decyzji niszczących Trybunał Konstytucyjny, pogardliwie wypowiadał się o tych, którzy demonstrują w obronie demokracji w Polsce, i jako sędzia orzekał w stanie wojennym. Dziś jest nominowany na wysokie unijne stanowisko przez środowisko polityczne, które zarzeka się, że oczyści sądy z „komunistycznych złogów”.

Scenariusze i zaufki

Po co Boris Johnson zawieszają parlament?

Brytyjski premier postanowił to zrobić na pięć kluczowych tygodni przed aktualną datą brexitu, 31 października. Posłowie spotykają się jeszcze na kilka dni w tym tygodniu, a potem wrócą przed samym dniem zero. Dlaczego Johnson to zrobił? Jedną z teorii brzmi: im więcej chaosu w Westminsterze, tym większe przerażenie w Brukseli, i tym większa szansa na lepszą umowę wyjściową. Marzenia ściętej głowy – odpowiada Bruksela.

Parlament ma kilka opcji – o ile z żadnej jeszcze nie skorzystał, bo ten numer POLITYKI zamknęliśmy przed powrotem posłów z wakacji. Może zobowiązać rząd do pełnego wycofania się z brexitu (brak większości) lub zaakceptować porozumienie wyjściowe wynegocjowane przez premiera May (jak wyżej). Przeciwnicy brexitu bez umowy mówią jeszcze o ustawie, która zobowiązałaby Johnsona do złożenia w Brukseli wniosku o kolejne przełożenie daty wyjścia. Ale po pierwsze, nie wiadomo, czy rząd wykona takie polecenie. Po drugie, to ślepy zaulek: na przełożenie musi zgodzić się Rada



© REUTERS/FORUM

Europejska. Żeby plan odroczenia – taki do zaakceptowania przez Radę – się udał, parlament musiałby wymienić premiera. A to na dziś (poniedziałek) oznacza, że zbuntowani konserwatyści musieliby poprzeć rząd Jeremy'ego Corbyna – co jest mało prawdopodobne.

Ostatnia opcja to przyspieszone wybory. Ale na to również nie ma większości, bo zbuntowani konserwatyści boją się, że przy obecnej radykalizacji opinii publicznej nie wrócą już do parlamentu. Wszystkie te kalkulacje są jednak nic niewarte, jeśli Johnson po prostu uważa, że brexit bez umowy jest najlepszym rozwiązaniem dla jego kraju. Wtedy nic go nie powstrzyma.

Idą ławą

Mając samodzielną większość w ukraińskiej Radzie Najwyższej, partia Sługa Narodu nie musi dzielić się władzą ani szukać sojuszników: przegłosuje, co zechce. I tak szefem parlamentu został lider prezydenckiej partii Dmytro Razumkow, deputowani zatwierdzili też wskazanego przez prezydenta Zełenskigo kandydata na premiera. **Ołeksij Honczaruk** ma 35 lat i jest najmłodszym w historii szefem ukraińskiego rządu. Z wykształcenia prawnik, doktor filozofii prawa, do Ze!Drużyny przyszedł niedawno, pracując jako wiceszef administracji Zełenskigo. Znany z dbałości o wygląd oraz zamiłowania do samochodów marki Jaguar. Nie ma rodziny i uchodzi za pracoholika. Wśród atutów wymienia się jeszcze brak uwikłania i bliskich relacji z oligarchami, to ewenement wśród ukraińskich rządzących.



© REUTERS/FORUM

Również ministrowie nowego rządu pochodzą z prezydenckiego nadania, a parlament tylko te kandydatury zaakceptował, choć zgodnie z konstytucją powinno być odwrotnie. Ihor Kołomojski też zdołał ulokować kilku swoich bliskich współpracowników. Kadrowa ławka nowej władzy okazała się dość krótka, sporo osób było aktywnych za Poroszenki, w rządzie znalazło się nawet dwoje ministrów z poprzedniej ekipy, wśród nich Arsen Awakow, minister spraw wewnętrznych w rządach Jaceniuka i Hrojsmana, oskarżany o brak skutecznych reform policji i nierozliczenie afer. Nowy rząd jest wyraźnym przedłużeniem urzędu prezydenta i zapewne nie sprzeciwi się jego woli. Podobnie parlament – to zresztą było widać już podczas pierwszego posiedzenia. Czy to będzie cudowny sposób

na uleczenie problemów ekonomicznych i społecznych kraju? Premier zapowiedział walkę z ubóstwem, jakie dziś dotyka wielką część obywateli Ukrainy, i z korupcją – nadal niszczącą kraj plagą, współpracę z międzynarodowymi instytucjami finansowymi, zwłaszcza MFW, ułatwienia dla biznesu i zapewnił, że nowy rząd kraść nie będzie. Obietnicę kontynuacji proeuropejskiego i pronatowskiego kursu złożył minister spraw zagranicznych Wadim Pristajko, wielki zwolennik euroatlantyckiego wyboru Ukrainy, przedstawiciel Kijowa przy NATO.

Prezydent natomiast obiecał narodowi, że parlament, aby wprowadzić reformy, będzie pracował dzień i noc. I po raz pierwszy większość ankietowanych w sondażach obywateli uważa, że kraj idzie w dobrą stronę.

Mantra za seks

Jest kolejny kandydat na negatywnego bohatera światowego ruchu #MeToo. W szpitalu w Tajlandii zmarła lama Sogjal Lakar (72 lata), wysokiej rangi nauczyciel buddyźmu tybetańskiego (rinpocze), niegdyś bliski współpracownik Dalajlamy. Miał zachodnie wykształcenie religioznawcze, dobrze znał angielski, występował na niezliczonych spotkaniach z entuzjastami buddyźmu we Francji, Anglii i USA. Jego książka o buddyjskim podejściu do życia i śmierci była bestsellerem. Dobra passa urwała się, gdy w połowie lat 90. jedna z adeptek zaangażowała od lamy 10 mln dol. odszkodowania za to, że znęcał się nad nią psychicznie i wykorzystywał seksualnie. Lama zaprzeczył, ale doszło do ugody pozasądowej. Zaprzeczał też kolejnym oskarżeniom. Adeptki zapraszały do swego pokoju i proponowały seks. Nigdy nie stanął przed sądem. Milczeli współpracownicy, milczał sam Dalajlama. Jednak rok temu spotkał się (początkowo niechętnie) w Holandii z grupą ofiar przemocy ze strony nauczycieli buddyjskich. I zapewnił, że potępia takie zachowania.

Lakar nieco wcześniej ustąpił z funkcji szefa międzynarodowej sieci ośrodków propagujących jego nauki. Sieć zleciła zbadanie zarzutów przeciw lamie. Zostały potwierdzone. Mary Finnigan, była współpracownica Lakara, wydała niedawno książkę, w której przedstawia go jako człowieka z obsesją na punkcie władzy, pieniędzy i seksu. Mimo to po śmierci Lakara na jego koncie FB pojawiła się lawina ciepłych pożegnań. Tak jakby wyznawcy nie wzięli sobie zarzutów do serca. Buddyści wierzą w reinkarnację. Sogjal był uważany za reinkarnację nauczyciela poprzednika obecnego Dalajlamy. W jakim wcieleniu się odrodzi ze swoją złą karmą?

LITURGIA słowa

Dwie okrągłe rocznice 1 września 1939 r. kreślą odmienne obrazy świadomości historycznej naszych elit rządzących i ich rozumienia polskich relacji z sąsiadami.

ADAM KRZEMIŃSKI

Dziesięć lat temu, w 2009 r., ponadpartyjne obchody rocznicy wrześniowej katastrofy sprawiały wrażenie rzeczywistej nowej ery. Prezydent Lech Kaczyński i premier Donald Tusk na Westerplatte, ramię w ramię z kanclerz Angelą Merkel i premierem Władimirem Putinem, potępiającym pakt Ribbentrop-Mołotow jako „niemoralny” – to wyglądało na dużo więcej niż nowy styl i ton w rozdrapywaniu starych ran oraz wojennych i powojennych traum.

PiS tegoroczne obchody zaprogramował jako część swojej kampanii wyborczej w stylu warszawskiego hołdu połowy świata składanemu Andrzejowi Dudzie, który odwoływał się do militarnych i moralnych polskich zasług wojennych i przestrzegał sojuszników przed znowu zaborczą Rosją. Nieobecność prezydenta Trumpa i przemilczenie roli wspólnoty europejskiej w wystąpieniu prezydenta RP zepsuła tę liturgię słowa. A stylistyczne zastąpienie od lat podkręcanych przez PiS roszczeń do niemieckich reparacji słowem zadośćuczynienie jest może sygnałem, że rządzący dziś Polską chcą na zewnątrz zatrzeć tę antyniemiecką kampanię, którą od lat nakręcają przy każdym wyborach. W 2005 r. był to – według wzorów PRL – Grunwald i „dziadek z Wehrmachtu”. Potem Tusk jako polityczne dziecko wyniańczone przez Angelę Merkel, rzekoma „opcja niemiecka” Ślązaków, a teraz Gdańsk, który jakoby chce do Niemiec. A nade wszystko należy ponoć Polsce 80 lat po wojnie bilionowe reparacje.

W tym zerowaniu na zadawionych antyniemieckich odruchach w części polskiego społeczeństwa nie ma jakoś mowy o wartości Ziemi Zachodnich i pozostawionym tam poniemieckim mieniu. Jakby utrata dawnych Niemiec wschodnich na rzecz Polski w tym rachunku się nie liczyła, bo to „tylko” odszkodowanie za utracone na rzecz ZSRR Kresy Wschodnie. Nie ma też mowy o różnych – również pekuniarnych – staraniach Niemiec o postawienie polskiej gospodarki na nogi po 1989 r. Liczy się tylko utrwalanie w głowach wyborców PiS, że mają trzymać się tej władzy, która im zapewni to, na co mają ochotę.

Ze względu na „platformerską twierdzę” w Gdańsku i jego nową panią prezydent PiS we wrześniowych obchodach odsunął Westerplatte na dalszy plan, wysyłając tam nieporadnego w polityce historycznej premiera historyka Mateusza Morawieckiego. Na dobitne słowa Aleksandry Dulckiewicz, że każda wojna, „państwa z państwem, wojna rządzących ze społeczeństwem, wojna jednej władzy z drugą, wojna na froncie różnic światopoglądowych, wyznania czy koloru skóry, każda wojna jest zła, każda wojna sieje spustoszenie i zabija”, oraz na odwołanie do UE, której celem „był

nie tylko dobrobyt i rozwój, ale przede wszystkim pokój”, „dlatego ci, którzy kwestionują zjednoczenie europejskie i demontują wolnościową demokrację sprzyjają powrotowi stref wpływów i prymatu silniejszego, a tam, gdzie zaczyna brakować praw i tłumi się wolność, tam prędzej czy później pojawia się przemoc w życiu publicznym”, premier z jak zwykle kamienną twarzą odpowiedział kwieciste wojenną poezją. Podobnie zresztą brzmiał list prezydenta RP.

Z tym że dla Andrzeja Dudy zaplanowano jeszcze dwa wystąpienia. Wieluń miał priorytet taktyczny – odwracał uwagę od Gdańska. Ale także w istotny sposób dodawał nowy akcent do obchodów. Zbombardowanie przez Luftwaffe bezbronnego miasta na kilka minut przed atakiem na polską placówkę wojskową na Westerplatte słusznie wybrano jako symbol wojny z ludnością cywilną. Tyle że o ile propaganda rządowa wiesza psy na gdańszczanach, że urządzili 1 września polsko-niemiecki marsz żywych, to nie atakuje tego, że również w Wieluniu w tym czasie doszło do polsko-niemieckiego spotkania młodzieży.

I wreszcie główna przemowa Andrzeja Dudy na placu Piłsudskiego, która była wychylona w przeszłość i zarazem przestrzegała przed nawrotami terytorialnego rewizjonizmu i imperialnych ambicji w Rosji. Obecność prezydenta USA miała pokazać, że Polska – inaczej niż w 2009 r. – jest dziś priorytetowym sojusznikiem USA w Europie. Wiceprezydent Mike Pence był jednak tylko dublerem. Przemawiał niczym kaznodzieja, ale nie zdobył się na jedno zdanie wyjaśnienia, dlaczego to USA w Teheranie, Jałcie i Poczdamie dały się ogrzać Stalinowi.



Niedosyt wyteśknionej Ameryki nieco równoważyła Angela Merkel. Jej nieoczekiwane przybycie wzmacniało nie tylko niemiecką obecność na placu Piłsudskiego, ale i europejską – tak lekceważoną przez PiS. Choć UE jest takim samym filarem polskiego dobrobytu i bezpieczeństwa jak NATO i – tak jest! – pojednanie z Niemcami.

Trudno natomiast dziś o podobne pojednanie z Rosją, która upiera się przy zasługach ZSRR przy wyzwaniu Polski od niemieckiej okupacji, ale znów nie uznaje żadnych win Stalina w jednostronnym złamaniu umów we wrześniu 1939 r. oraz przygotowaniu wspólnego z III Rzeszą najazdu i rozbioru Polski, a w listopadzie 1939 r. porozumienia NKWD i Gestapo w sprawie dekapitacji polskiej warstwy kierowniczej.

I wreszcie nieobecność na placu Piłsudskiego Tuska jako byłego premiera oraz wciąż jeszcze urzędującego prezydenta Unii Europejskiej jest sygnałem nie tylko w kampanii wyborczej PiS, że nie ma widoków na zakończenie wojny polsko-polskiej.

To daje do myślenia, że największe oklaski na placu Piłsudskiego zebrał prezydent Niemiec, mimo że tłumacz mało składnie oddawał jego słowa. **Frank-Walter Steinmeier** nie powiedział nic nowego, powtórzył to, co w 1994 r. słyszeliśmy na placu Krasieńskich od prezydenta Herzoga, słowa przeproszenia za to, co Niemcy w czasie wojny wyrządzili Polakom. I powtórzył swe piękne wyznanie z 2016 r., że do Warszawy w tradycji Ottona III przychodzi we włosienicy i boso, jako pielgrzym pokoju.

Co za paradoks, zauważył jeden z komentatorów, akurat Niemiec mówiąc o pojednaniu uratował obchody 80-lecia niemieckiego najazdu na Polskę. To pokolenie niemieckich polityków szybko odchodzi. ■

GESTY i fakty

Donald Trump miał w Warszawie faktycznie rozpocząć kampanię PiS przed październikowymi wyborami. Do czego jeszcze potrzebni są nam Amerykanie?

ŁUKASZ WÓJCIK

Nie ulega wątpliwości, że gesty grają w polityce ważną rolę. Ale w polskiej polityce zagranicznej ich znaczenie sięgnęło absurdu. Wystarczy wspomnieć zachwyty nad (domniemaną) wiedzą historyczną Trumpa po jego wystąpieniu na placu Krasińskich w 2017 r., co miało świadczyć o znaczeniu Polski w Białym Domu. Teraz wahadło wychyliło się w drugą stronę – Polska podobno została upokorzona, bo Trump, odwoławszy pod tym pretekstem wizytę w Warszawie, zamiast walczyć z huraganem – tak jak Morawiecki z powodzią – grał w golfa. Można by się przyczepić, że na pole golfowe poleciał rządowym helikopterem, ale litości – miał biegać z młotkiem i zabijać deskami okna na wybrzeżu Florydy? Zapewne trafnie uznał, że jego nieobecność w kraju przy tak dużym zagrożeniu kataklizmem mogła źle wypaść w sondażach. I tyle. Skupmy się na poważnych sprawach.

Zasadnicze pytanie brzmi: do czego są nam potrzebni Amerykanie? Romantycy oburzają się na tak instrumentalne potraktowanie najważniejszego sojusznika, bo przecież – jak powiedział w Warszawie wiceprezydent **Mike Pence** – wiąże nas coś dużo głębszego – wspólnota wartości, honor. „Nikt nie walczył z większą odwagą i determinacją niż Polacy. W trakcie trwającej kilka dziesięcioleci walki przeciwko tyranii Polska udowodniła, że jest ojczyzną bohaterów” – powiedział w niedzielę na placu Piłsudskiego. No dobrze, połączmy nas gdzie trzeba. Ale czy naprawdę jesteśmy tak naiwni i zakładamy, że Amerykanie nie zadają sobie pytania: do czego są nam potrzebni Polacy?

Według rządu PiS największym zagrożeniem dla Polski jest Rosja, i trudno się z tym nie zgodzić. Czy obecna administracja USA podziela te obawy? Można mieć wątpliwości. I nie chodzi tu wcale o kontakty sztabu Trumpa z Rosjanami – niekoniecznie musiały one wynikać z większego planu, były raczej przejawem radykalizacji obozu Trumpa, dla którego Hillary Clinton nie była już konkurentką, ale zdraczący. Obecna administracja ma inną perspektywę niż polski rząd. Rosja jest Trumpowi potrzebna w kilku międzynarodowych sporach, np. w Syrii, ale przede wszystkim w relacjach z Chinami. Stąd np. najnowszy pomysł Trumpa, aby przywrócić Rosji miejsce w G7. W domyśle – jesteśmy gotowi przytknąć oko na rosyjskie agresje w regionie (Ukraina), jeśli Moskwa weszprze nas w konflikcie z Pekinem.

Tu rodzi się kolejne pytanie: czy Białoruś jest ważniejsza niż Chiny? A np. Estonia? Jaką cenę jest w stanie zapłacić Trump za rosyjskie wsparcie na Dalekim Wschodzie? Nas pewnie świadomie nie „sprzedają”, ale jego deale z Putinem mogą doprowadzić do sytuacji, w której obrona Polski okaże się bezcelowa i beznadziejna.

Zachowując wszelkie proporcje, czy nie taka logika kierowała polskimi sojusznikami we wrześniu 1939 r.? Zwolennicy obecnego rządu odpowiedzą zapewne, że liczą się fakty – w Polsce przybywa amerykańskich żołnierzy. A to jest tzw. gejmczendżer – zaważyć się mogą wszystkie nasze relacje sojusznicze, NATO, Unia Europejska. Ale Rosja nigdy nie odważy się podnieść ręki na kraj, w którym stacjonują Amerykanie, w obawie, że śmierć któregoś z nich doprowadzi do konfliktu z USA.

Stawiamy więc wszystko na jedną kartę, a to nas coraz więcej kosztuje. Z jednej strony Trump „płaci” rządowi PiS deklaracjami jak ta, która w poniedziałek w Warszawie popłynęła z ust wiceprezydenta Pence’a: „Jesteśmy wdzięczni prezydentowi Dudzie za jego oddanie na rzecz wzmocnienia rządów prawa w Polsce”. Ale jednocześnie oczekuje od nas wsparcia w inicjatywach, w których nie mamy większego interesu czy wręcz są dla nas obciążeniem, jak budowa antyirańskiej koalicji (vide lutowa Konferencja Bliskość wschodnia w Warszawie). A co, jeśli następny prezydent USA zmieni zdanie i wycofa żołnierzy z Polski? Będziemy się przepraszać z Europą? Tu warto wrócić do pytania: po co Amerykanom są potrzebni Polacy? Po Iraku i Afganistanie tendencje izolacjonistyczne to w Stanach trend znacznie głębszy niż sam fenomen Trumpa. Wi-



© PIOTR MOLEK/VEAST NEWS

dać go zarówno w kręgach eksperckich, jak i wojskowych – zwiększenie obecności w takich miejscach jak Polska było jednym z powodów rezygnacji sekretarza obrony gen. Jamesa Mattisa. Otóż Polacy są Amerykanom potrzebni coraz mniej, jeśli przyjąć, że długofalowo Waszyngton przejmuje się przede wszystkim Chinami.

Polacy są natomiast potrzebni Trumpowi. Obecny prezydent USA wydał światu wojnę handlową. Za głównych konkurentów uważa Chiny i Unię Europejską. I od początku swojej prezydentury gra na osłabienie Europy, wspierając radykalny brexit, obiecując Wielkiej Brytanii „najlepszy deal handlowy w historii”. Chwali też włoskich populistów, z Matteo Salviniem na czele, a jego człowiek – Steve Bannon – buduje paneuropejski ruch, który ma „rozsadzić Unię od środka”. Wsparcie Trumpa dla polskiego rządu wpisuje się w tę strategię.

Czy następny prezydent USA będzie miał inną wizję? Wiele na to wskazuje: już dziś w waszyngtońskich kręgach ekspertów dominuje teza, że choć wojna handlowa z Chinami jest nieunikniona, to można ją wygrać tylko przy wsparciu silnej Europy. Tylko w jej rdzeniu będziemy ważnym partnerem Ameryki, a nie klientem Trumpa.

Więcej o obchodach 80. rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej w felietonie Daniela Passenta na s. 94.